Nasza Przyjaźń

Nr. 2. Grudzień 1935. 10 gr.

Misterjum Wcielenia i Narodzenia.

1. **Zwiastowanie Wcielenia.**

A miesiąca szóstego posłan jest Anioł Gabrjel od Boga do miasta Galilejskiego, którego imię Nazaret.

Do Panny poślubionej mężowi, któremu było Józef, z domu Dawidowego: a imię Panny Marja.

I wszedłszy Anioł do Niej rzekł: Bądź pozdrowiona łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami.

Która, gdy usłyszała, zatrwożyła się na mowę jego i myślała jakieby to było pozdrowienie.

I rzekł Jej Anioł: Nie bój się Marja: albowiem znalazłaś łaskę u Boga.

Oto poczniesz w żywocie i porodzisz Syna, a nazwiesz Imię Jego Jezus.

Ten będzie wielki, a będzie zwany Synem Najwyższego: i da Mu Pan Bóg stolicę Dawida Ojca jego: i będzie królował w domu Jakóbowym na wieki:

A Królestwa Jego nie będzie końca.

A Marja rzekła do Anioła: Jakoż to się stanie: gdyż męża nieznam?

Anioł zaś odpowiedziawszy, rzekł Jej: Duch Święty zstąpi na Cię, a moc Najwyższego zaćmi Tobie.

Przetoż i co się z Ciebie narodzi Święte, będzie nazwane Synem Bożym.

A oto Elżbieta, krewna Twoja, i ona poczęła syna w starości swej, a ten miesiąc szósty jest onej, którą zowią niepłodną:

Bo u Boga nie będzie żadne słowo niepodobne.

I rzekła Marja: Oto służebnica Pańska, niechaj mi się stanie według słowa twego.

I odszedł od Niej Anioł.

(Św. Łk. I, 26—38).

2. **Narodzenie Syna Bożego.**

I stało się w one dni wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby popisano wszystek świat.

Ten popis pierwszy stał się od starosty Syryjskiego, Cyryna.

I szli wszyscy, aby się popisali, każdy do miasta swego.

Szedł też i Józef od Galilei z miasta Nazaretu do żydowskiej ziemi, do miasta Dawidowego, które zowią Betlehemem: przeto, iż był z domu i z pokolenia Dawidowego.

Aby był popisany z Marją poślubioną sobie małżonką brzemienną.

I stało się, gdy tam byli, wypełniły się dni, aby porodziła.

I porodziła Syna Swojego pierworodnego, a uwinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie: iż miejsca im nie było w gospodzie. (Św. Łk. II, 1—7).

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo

To było na początku u Boga.

A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami (i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako Jednorodzonego od Ojca) pełne łaski i prawdy. Jan. I, 1, 2, 14).

3. **Niekończący się epilog.**

Z przepastnych głębin.

Duch jest Bóg: a ci, który Go chwalą, potrzeba, aby Go chwalili w duchu i w prawdzie. (Św. Jan IV, 24).

W miesiącu grudniu obchodzimy, po okresie adwentowego oczyszczenia dusz, pamiątkę najradośniejszego dla człowieka mysterium Narodzenia Boga w ciele ludzkiem. Dusze, proste i czystego serca, w dniu tym mają w oczach łzy wzruszenia i radości; wiedzą bowiem, że przez wcielenie Słowa Bożego otwarła się dla nich nadzieja nieba i że „ukryci w Chrystusie“, jak powiada św. Paweł, dojdą po tem ziemskiem pielgrzymowaniu do oglądania Ojca Niebieskiego twarzą w twarz. Ale są i tacy, i tych niestety jest przerażająca większość, dla których ten okres schodzi do poziomu ich banalnego i nieciekawego życia. Tacy na Mszę św. t. zw. pasterską przychodzą z przeładowanym żołądkiem i zalaną głową, jeżeli chodzą z wizytami po znajomych, to żeby rzęsiście „zakropić się“ wódką. Kiedy już wpadną do kościoła, to na Żłóbek spoglądają, jak na teatr marjonetek. Żadna głębsza myśl czy refleksja nie obudzi się w ich organizmie duchowym. Przecież wszystkie te nabożeństwa i dekoracje, to dla ludu, jak wogóle cała religja, do której przyznawać się poważniej byłoby rzeczą ubliżającą dla człowieka myślącego, czy na stanowisku! A tymczasem jakżeż wygląda rzeczywistość? Oto z przepastnych głębin wieczności zeszedł na naszą ziemię Deus absconditus — Bóg ukryty, Mysterium tremendum — Tajemnica przerażająca.

On Duch, niepojęty Bóg, z głębin wieczności...

Czy jesteśmy w stanie — pyta się angielski myśliciel Newman — z tej rzeczywistości zdać sobie sprawę? Wydaje nam się względnie łatwe do pomyślenia i przyjęcia, że Bóg nie ma końca, ale czy rozum nasz nie doznaje zawrotu na myśl, że Bóg nie ma początku? I czy naszą wyobraźnię nie wprowadza w stan zupełnego zamieszania to, że skoro Wszechmocny nie ma początku, to musiał całą wieczność żyć sam? Co za przerażająca w swej tajemniczości myśl! Dla nas ludzi szczęście polega na szukaniu jakiegoś zajęcia, jakiegoś celu: my śmiertelnicy nie możemy pojąć dłuższego odpoczynku, chyba jako stanu bezczynności czy apatji: jesteśmy znużeni, jeśli rozmyślamy godzinę tylko. Cóż zawarte jest przeto w tem powiedzeniu, że Bóg spędził nieskończone okresy sam z sobą? Jakiż był cel Jego istnienia? Był celem sam dla siebie: jakżeż to trudne do pojęcia! Skoro żył tak sam z sobą przez całą wieczność, to mógł, gdyby był chciał, nic nie stworzyć. I tak od wieczności do wieczności On tylkoby był: i nikogoby nie było, ktoby świadczył o Jego istnieniu, kontemplował Go, uwielbiał i dzięki Mu składał. Przygniatająca to myśl! Nie byłoby ani przestrzeni, ani czasu, ani następstwa, ani zmiany, ani postępu, ani celu, ani końca. Jeden Nieskończony Byt od początku do końca i nic więcej. I dlaczego On? Cóż więcej przykrego jest dla wyobraźni, czy myśl o Jednym tylko Bycie, czy wogóle o niczem?

Jesteśmy tu w obliczu nagiej, surowej, przerażającej tajemnicy, ciążącej na nas swym ogromem.

I gdyby nie tajemnica Wcielenia, ta tajemnica, że Bóg stał się człowiekiem... Tajemnica niepojęta, ale tak radosna i pełna ukojenia, przebaczenia i mimo swej wzniosłości tak pociągająca i wzruszająca!

Jest nam niezrozumiałą i tylko możemy ją uwielbiać, kiedy słyszymy, że Wszechmocny Bóg, który „wieczność zamieszkiwał“, przyjął ciało i krew z ciała Najśw. Panny, był w Jej łonie, ssał Jej pierś, był posłusznym rodzicom ziemskim, pracował w niskim zawodzie, doznawał wzgardy od swoich, był policzkowany i lżony od swych stworzeń, został przybitym do krzyża i zmarł śmiercią złoczyńcy, a teraz w formie chleba spoczywa na ołtarzach, w ukryciu tabernakulum. Jakżeż to w wysokim stopniu niepojęte: a jednak chociaż ta myśl obezwładnia naszą wyobraźnię, pokonuje też i serce nasze. W istocie, nie można sobie wyobrazić myśli bardziej podbijającej nasze uczucie, bardziej je szarpiącej i przeszywającej.

Przyszedł do własności, a swoi Go nie przyjęli.

A ilukolwiek ich przyjęło Go, dał im moc, aby się stali synami Bożymi, tym, którzy wierzą w Imię Jego.

(Św. Jan. I, 12—13).

Rozwarte nożyce.

Istnieje u nas w Polsce, a zatem i w Krakowie t. zw. inteligencja. Co pod tym kopciuszkiem się kryje, to i sam mędrzec Pański byłby w kłopocie określić. Czy decyduje o przynależeniu do niej posiadanie mniej lub więcej modnego kapelusza na głowie, jeśli chodzi o niewiasty, czy tyle a tyle inteligentny wyraz twarzy i delikatniejsze ręce, jeśli chodzi o mężczyzn — trudno to zgadnąć.

Dwie rzeczy są pewne: po pierwsze wszyscy szanujący się ludzie obowiązkowo zaliczają się do inteligencji i w dodatku katolickiej, — po drugie, jeśli chodzi o znalezienie w tej nieokreślonej warstwie ludzi do apostolstwa religijnego, do krucjaty umysłowej wśród niższych warstw, do tworzenia frontu katolickiego, wtedy cicho, jak makiem zasiał; nikt się nie odzywa. Jeśli tego lub owego przycisnąć, zacznie piszczeć: „Dajcie mi żyć, zaklinam się, że nic złego nie robię, przysięgam, że „Wiadomości Literackich“ nie czytam, Boya się wyrzekłem, uznaję w 100% wasze kościelne małżeństwo — jestem przeciw koedukacji... O co wam jeszcze chodzi, nie żądajcie nic więcej ode mnie“.

Inny się wymawia: „Nie znam się na teologji, gadać nie umiem, nie mam zmysłu społecznego“. Inny znów: „Mówię za wysoko, nikt mnie nie zrozumie“. Inni głoszą: „Co wy chcecie robić? Klepcie pacierze w kościele — u was wystarczy wierzyć, poco jakiś czyn?“

Są i tacy, którzy twierdzą, że „nam Opatrzność wystarczy“ i tacy, którzy uważają „katolickie“ sprawy za mało ważne wobec kwestji podatkowych, mieszkaniowych, poborów, — świadczeń na różne organizacje etc.

Jednem słowem szczyty bronią się rękami i nogami.

A doły?

(Jest to wyrażenie upraszczające, przypominające legendarny worek na wszelkie płazy i gady).

Aha, to wy z Akcji Katolickiej! Boicie się izolacji, więc szukacie sobie klienteli? Wcale nie głupio! Z czem przychodzicie? Chcecie mówić o Bogu, o życiu religijnem i moralnem? Stop! Na razie, nieaktualne! Myślcie, czemby zapchać nasze brzuchy, jakby utrzymać nam pracę w rękach, a później... możemy pogadać o istocie życia, o wieczności, o czem tam jeszcze chcecie... Rozwarte nożyce. Akcja chce opanować oba ramiona, ale nie idzie...

Niedowiarkowie mówią.

Niema cnót obywatelskich bez cnót moralnych, niema zaś cnót moralnych bez wierzeń religijnych. Religja jest podstawą moralności, prawdziwej wolności i prawdziwego patrjotyzmu.

(Izraelita — Franck).

Naród, złożony z prawdziwych chrześcijan, nie potrzebowałby żandarmów.

(J. J. Rousseau).

Zgodzę się, że wszystkie cnoty ludzkie były u starożytnych, ale cnoty boskie są tylko u chrześcijan.

(Voltaire).

Chrystjanizm, a nadewszystko katolicyzm, będąc całkowitym systemem opanowania nikczemnych skłonności człowieka — jest największym czynnikiem społecznego porządku.

(Balzac).

Idą...

Idą czasy nowe...

Kościół nasz, oswobodzony z krępujących go więzów józefinizmu, wciąga głębokim oddechem powiewy wiecznie świeżego działania Ducha Świętego, by razić Jego prawdą skłębione mrowisko ludzkie i powikłane stosunki człowiecze.

Idą czasy nowe...

Czasy nowego porządku społecznego, czasy powrotu Ewangelji, czasy większej prostoty, miłości i sprawiedliwości.

My, którzyśmy Chrystusowi, bo stanowimy żywe kamienie Jego Kościoła, nie opierajmy się, w zatwardzeniu naszych dusz, temu natchnieniu Ducha Św., ale z Ewangelją w sercu, umyśle i woli, wiążmy z ufnością zręby nowego życia.

Bo jesteśmy na progu nowej epoki...

Tyle co i nic.

Idziemy razem ulicą z Adolfem. (Cierpi i on na antysemityczny rasyzm). Przechodzimy koło kościoła. Zdejmuję kapelusz: on też.

— To kościół parafjalny — powiadam.

— Parafjalny? Kościół chyba jest tylko kościołem. Dlaczego dodawać: „parafjalny“ — to przecież ubliżające!

— Wiem o co ci chodzi, przypomniało ci się słowo „parafjańszczyzna“, ale to nie z tej beczki; parafjalnym się nazywa, bo jest centrum, ośrodkiem widzialnym i niewidzialnym parafji. No, ale à propos, ponieważ gadaliśmy dość długo o pogodzie, o Karolu, o Wandzi i o twoich szefach, to może na odmianę pogadamy o parafji?

— Jak chcesz, to długo trwać nie będzie, bo co tu można powiedzieć na tak jałowy temat?

— Tak uważasz, hm, a cóż to jest parafja w twojem mniemaniu?

— Czekaj, tak zaraz prostu z mostu nie potrafię ci odpowiedzieć, muszę złapać początek nici... Już mam, przypominam sobie powiedzenie „iść do parafji“ — to znaczy iść do księdza proboszcza lub księdza wikarego.

— No i co, to już wszystko?

— Czekaj, chyba nie, przecież oni muszą coś robić!... Rano np. dzwonią.

— Eh, to może nie oni, to może kościelny?

— A może, mniejsza o to... Później prawdopodobnie odprawiają Mszę, chociaż mówię to na pamięć, bo sam nigdy nie chodzę... w niedzielę jednak napewno. Mówią też wtenczas i nudne kazania.

— Ah — nawet ich słuchasz?

— Też dobre — nabierasz mnie! Wiem, że nudne, bo je czasem służąca powtarza.

— Ale czekaj, idę dalej. Wiem, że kropią też dzieci...

— Chcesz powiedzieć „udzielają Chrztu św.“.

— No, tak wyrażasz się ściślej. Czasem przemieniają obrączki ślubne, a niekiedy wyprowadzą jakiegoś nieboszczyka na cmentarz. To chyba już wszystko, co wiem.

— No, nie udawaj, chyba potrafisz Adolfie, jeszcze coś ze siebie wydusić, przecież nie jesteś pojęciowo tak ubogi.

— Ano, jak cię to tak bawi, to mogę ci coś dorzucić, bo przypominam sobie, że byłem ze dwa razy w kancelarji urzędu parafjalnego. Miałem wydostać metrykę mego własnego urodzenia — pamiętam, że nie mogłem sobie przypomnieć daty mego chrztu, a jeszcze mniej, mego bierzmowania. Innym razem byłem z Kazkiem L., znasz go, na nauce przedślubnej u księdza proboszcza (!). Prosił mnie, żebym z nim poszedł i podpowiadał mu, bo on nic nie wiedział. Naprawdę, można się było pokładać ze śmiechu, co on plótł. Ale i mnie nie bardzo się udawało. Zapędzał nas ksiądz obu w kąt, za każdem pytaniem. Wkońcu, zmęczony, machnął ręką i powiedział nam: „nowocześni poganie, nie poradzę sobie z wami — nic nie wiecie“.

— No, on nie wiedział, że my wiemy inne rzeczy: każdy ma swój fach. — Adolf przerwał.

— Widzę, że się nie źle orjentujesz, ale czy to wszystko?

— Nie, jeszcze jest popołudnie: księża idą spać, później podwieczorek albo z wizytką do lepszych znajomych uciąć sobie w bridża lub whista, czasem do kawiarni lub kabaretu.

— Widziałeś kiedy księdza w kabarecie?

— Osobiście nie, ale mi mówił... zaczekaj, kto mi to mówił... w tej chwili nie pamiętam...

— Tak, to najłatwiej, nie pamiętać, ale powiedzieć! Ale czy to już wszystko?

— Do licha, cóż można więcej wiedzieć. Dalej musiałbym chyba bujać, a wyobraźnię mam ciężką.

— No, bo wiesz, chciałem ci powiedzieć, że to co wiesz, to prawie tyle co i nic.

— Fi, skąd ty taki mandaryn? Słucham cię, gadaj, jak wiesz co więcej!

Przy stoliku.

Jeśli mi kto będzie służył, uczci go Ojciec mój. (Św. Jan XI, 26).

— Akcja Katolicka — recytował p. Kazio R. przed panem radcą, Dr. Józefem B. przy stoliku w jednej z cukierni — to współpraca świeckich z duchowieństwem w zadaniach Kościoła i to pod kierunkiem hierarchji kościelnej. Celem tej pracy to „odnowienie wszystkiego w Chrystusie".

Na to interlokutor: — Powiem panu szczerze i otwarcie, że jakem radca i doktór praw, nic z pańskiego określenia nie rozumiem.

— Najzupełniej się nie dziwię, panie nadradco (na modłę krakowską, o jeden szczebel wyżej), że jestem nie zrozumiany. Pan nadradca nie może stanowić chwalebnego wyjątku i rozumieć, czego 95% mężczyzn w Krakowie też nie rozumie, nie wiedząc czem jest Kościół, jaką jest jego istota, jego funkcje. Jakżesz zatem możnaby zrozumieć „współpracę z Kościołem?" A że tak jest, to zupełnie wytłumaczalne.

Przecież Polak należy, według własnej swej opinji, do najmądrzejszego i najbardziej katolickiego narodu w świecie. Nie potrzebuje też niczego się uczyć lub o czemś dowiadywać. Katolikiem jest i basta. O co komu jeszcze chodzi? Odnowić wszystko w Chrystusie? Poco odnowić? Odnawia się fasady, sale, meble, ubranie, ale... wszystko? Co za wszystko i to w dodatku w Chrystusie? Dlaczego nie w Cicerone, Napoleonie czy... Cóż to za frazeologja pusta? Chrystus żył 1900 lat temu: żył i umarł — wówczas były inne warunki społeczne, inny styl życia, ale teraz wygłaszać jakieś anachronizmy!... Mówię za pana nadradcę, ale sądzę, że zgodnie z jego myśleniem — rzecze p. Kazio.

— Ależ najzupełniej, — śmiał się — tylko może porozmawiamy o czem innem? Czytał pan ostatnie „Wróble na dachu", a może pan gra w domino?

— Owszem gram, ale pozwoli pan nadradca, że dokończę...

— Ależ, panie, — jęknął — to taka niestrawna sałata, a pan specjalista od wiercenia w brzuchu... No, ale niech już będzie, że mnie pan ponudzi.

— Będę starał się zrobić możliwie najbardziej miłym: porzucam przeto oficjalne definicje, które nic nie mówią człowiekowi pozbawionemu pojęć i przeżyć duchowych. Mówmy „po naszemu"! O co chodzi Kościołowi i świeckim w Akcji Katolickiej? Dla wyjaśnienia, weźmy taką np. historję. Jaki ideał życiowy kieruje dziś przeciętnym człowiekiem w Krakowie? Narodził się — chodził do szkoły zawodowej, gimnazjum, seminarjum — był albo nie był na Uniwersytecie, w Akademji — ma albo niema w garści dyplomu i co dalej? Przedewszystkiem szuka, by koniecznie się gdzieś zadekować; w jakimś interesie czy na posadzie i na niej się utrzymać „za wszelką cenę". Dlatego i wypada poszukać sobie różnych posiadaczy „pleców" — zaasekurować się w jakiejś partji. A potem? Potem trzeba się rozglądnąć za jakąś niewiastą (nie, żeby się ich przedtem nie znało: przecież nikt nie jest mnichem!), zaopatrzoną w odpowiedni trzos — dobrze, jak ma też niezakazaną twarz, zgrabny tułów (od czego wystawa na plażach mieszanych) — konkursowe nóżki, bo to ważne walory na męskiej giełdzie...

— Ho, ho — widzę, że się pan orjentujesz — mów pan dalej — przerywa p. Kazimierzowi radca.

— Później robi się ślub — a potem zaczynają się wyższe aspiracje... użyć „życia", a nie mieć dzieci — zebrać kapitalik, mniejsza jakimi środkami, mieć auto na wyjazdy — gdzieś willę — wyjeżdżać możliwie najczęściej do badów, by widziano, że cię stać, módz zaglądać do kabaretów, dancingów — już nie mówię o kawiarni, o kieliszku wódki czy butelce winka... Czasem kropnąć się do Warszawci, by zmienić powietrze i...

— Już rozumiem — zachłystał się z radości pan radca.

— Nie należy też zapominać o możliwości posłowania — to nie taka znów trudna sprawa! — śni się nawet i fotel wyższego rzędu. Jednem słowem

Katolikiem trzeba być w sposób bezczelny. (L. Venillot).

Trzeba wierzyć w to, co się robi i robić to z entuzjazmem.

(Dewiza Equipes Sociales).

O potrzebie filozofji.

Samo uświadomienie sobie tych podstawowych prawd i wytycznych w budowie chrześcijańskiej filozofji — ma już ogromne znaczenie dla życia duchowego jednostek i społeczeństwa. Pierwszą bowiem zasadą naszego życia psychicznego jest zasada jedności. W myśl tej zasady nasze życie duchowe dąży ustawicznie do scalenia naszych treści, jakie pobieramy i wszystkich naszych wartości. W tej organizacji naszego życia duchowego decydującą rolę odgrywa przemyślenie przynajmniej najogólniejszych zasad, na których oprzeć się może jednolity pogląd na całą rzeczywistość. Gdzie brak tej ogólnej i racjonalnej ramy, w której mamy zamknąć i zrozumieć całą rzeczywistość, tam dążność do syntezy zaznaczająca się w naszem życiu psychicznem, poddawana jest zmiennym nastrojom uczuć i rozbieżnym hasłom, któremi nasycona jest cała nasza atmosfera. Na ileż tarć, na ile niekonsekwencyj i próżnych wysiłków skazane być musi życie jednostki, która nie przemyślała siebie i otaczającego ją świata, przynajmniej w najistotniejszych punktach.

Na tak zmiennych podstawach, jakiemi są uczucia i oderwane od swego ogólniejszego tła hasła, które kolportują ludzie rekrutujący się z odmiennych i sprzecznych obozów, wyróść może tylko brak konsekwencji w życiu jednostki i płytka forma indywidualizmu, który nie pozwoli na zestrój wielu jednostek dla pewnych celów i zasad, bo jednostki nie zdołają się zrozumieć u podstaw swej współpracy. Narody, które pojmują życie i świat zasadniczo, które dla każdej zasady, dla każdego hasła żądają legitymacji w formie ogólnego, filozoficznego uzasadnienia, najwięcej uzdolnione są do współpracy na terenie społecznym, najwięcej są uspołecznione. J. Ch.

WYKŁADY W DOMU KATOLICKIM.

I. **Wykłady naukowo-religijne:**

5-go grudnia i 12-go grudnia prof. Uniw. Jagiell. Ks. Dr. J. Kaczmarczyk. Początek o godz. 6-tej w sali Błękitnej.

II. **Kurs filozofji chrześcijańskiej:**

2-go i 9-go grudnia prof Uniw. Jag. Ks. Dr. Salamucha.

16-go grudnia prof. Ks. Dr. Fr. Kwiatkowski T. J. — Początek o godz. 7-mej w sali Błękitnej.

Czy nie tak jest?

Zaiste, jedynie chrześcijaństwo zdolne jest zatrzymać nas na fatalnej pochyłej, zdolne zahamować niewyczuwalne staczanie się, którem cała nasza rasa nieustannie i całym swym ciężarem schodzi w dół... Religja jest tą niezbędną parą skrzydeł dla utrzymania człowieka w górze, ponad swem czołgającem się życiem i swemi ograniczonemi widnokręgami — dla doprowadzenia go do jasności poprzez cierpliwość, rezygnację i nadzieję — dla wzniesienia go aż do wyżyn poświęcenia i ofiary poprzez i ponad umiarkowanie, czystość i dobroć.

(Taine, pozytywista francuski).

Profesor Uniwersytetu.

Mamy przezacnego kolegę. Nazywamy go w naszej gwarze: Kropka - nad - i. To może śmieszne, ale tak się przyjęło. Ten opowiadał nam o „naukowej“ rozmowie, jaką miał o Bogu z pewnym „uczonym“ profesorem Uniwersytetu, wyznawcą skrajnego materjalizmu.

— Więc pan mówi o Bogu przez małe „b“? — pyta się „uczony“ profesor naszego kolegi, Kropka - nad - i.

— Przepraszam, a pan profesor z jakiego okresu?

— Jakto, z jakiego okresu?

— Chciałem się zapytać z jakiego okresu geologicznego, bo w obecnym okresie Akademja Umiejętności w Krakowie ustaliła, że słowo „Bóg“ pisze się przez wielkie „B“, bo to odpowiada rzeczywistości Absolutu.

— Eh! Akademja Umiejętności... — wszyscy ludzie są omylni! Ja zupełnie zgadzam się tylko z mojemi kolegami Ula - Sinem, Kot - Chlapińskim oraz z przyjaciółmi z „Nieświadomości literackich“, że ten wyraz, zresztą bez treści, należy pisać przez małe „b“. Osobiście zdradzę panu, że szukałem dość długo tego waszego Boga przez wielkie „B“ i nie znalazłem go nigdzie.

— Panie profesorze (przez małe „p“, bo to odpowiada też pewnej rzeczywistości, zresztą zgodnie z pisownią Akademji Umiejętności!), krewna pana opowiadała mi, że pan szukał przez pięć godzin swych własnych szelek i przewrócił do góry nogami wszystkie komnaty, tymczasem wisiały na nich pańskie spodnie, zasłaniające pańskie własne nóżki, dźwigające znów pański własny pożywny korpus i pańską własną lekką głowę... Nie będę wcale zdziwiony, chociaż przerażony, jeśli dowiem się, że dzięki swej obecnej przenikliwości, będzie pan szukał Boga przez całą wieczność...

Mądrą mu dał odpowiedź, ten zacny nasz kolega, Kropka - nad - i.

Kościół jest w stanie przyjąć wszystkie wyniki myśli nowoczesnej, naukowej i nie zachwiać się ani na chwilę, jest w stanie uznać, że życie poza obrębem Kościoła dokonywało w ciągu ostatnich stuleci prac niezbędnych, lecz, że zostały one niezupełnemi właśnie dlatego, że były wykonywane poza posłuszeństwem kościelnem i że dzisiejszy kryzys kulturalny jest wynikiem tego przebiegu historji.

— — — — — — — —

By stwierdzić, że prawda jest wieczna, człowiek nie może nic innego uczynić, jak jeno siebie dla prawdy zaprzeczyć.

(St. Brzozowski).



Ten, który wieczność zamieszkiwał...

„carpe diem“, bo jak wyciągniesz nogi, to cię zawloką, wrzucą w dół i będzie klapa.

— Pan może mówi o śmierci? — przerwał zalękniony radca.

— Niby tak!

— Oj, panie, to nie w moim guście, a ponadto lekarz zakazał mi wzruszeń! Ale kogo widzę przy drugim stoliku — pan Nowodziejski. Pan lubi takie tematy, bo pan młody, to możecie obydwaj spokojnie o „niej“ mówić. Moje uszanowanie!

Młodzi naszego wieku.

Zakon Pański niepokalany, nawracający dusze (ps. 18).

Faktem jest, że mija czas, w którym uchodziło za sprawę dobrego tonu i niezależnej myśli pokpiwać z religji i być niewierzącym. Był to okres skrajnego pozytywizmu. Podczas gdy w literaturze z końca XIX wieku zagadnienia religijne zajmowały stosunkowo niewiele miejsca, to dziś w literaturze współczesnej, zwłaszcza francuskiej, problemy religijne zdają się najbardziej roznamiętniać i pociągać umysły. Ośrodkiem tych zainteresowań — to niepokój, tęsknota za nieskończonością, jednem słowem to Bóg, wieczna udręka ludzi, czy usiłują Go stworzyć, czy Go zniszczyć — jak pisze Marcel Arland. Czyż nie jest to znakiem nowego ducha, że tylu ludzi młodej generacji, wyczerpawszy wszystkie filtry rozkoszy, przychodzą wyznać swą nędzę moralną i pustkę swych wartości duchowych?

Poza „paroma cyrkowymi clownami“ literatury, którzy znajdują przyjemność w zabawianiu gawiedzi i propagowaniu wśród niej swego zgubnego dyletantyzmu i wysuszającego sceptycyzmu, wszyscy ci, którzy pochylają się nad duszą współczesnego człowieka, słyszą idącą od niej skargę. Skargę tę odnajdujemy, dobrze uchwyconą i scharakteryzowaną w książce niedawno zmarłego paryskiego pisarza A. Lamandé'go: „Młodzi tego wieku“ (Enfants du siècle). W jednym z czasopism określił autor, że za „młodych tego wieku“ uważa tych, którzy wyrośli w atmosferze wolności, kiedy ojcowie byli na froncie, a wokół nich pozrywane zostały tamy moralności. We wczesnym jeszcze wieku młodzi ci wyczerpali się w przyjemnościach, jakie zwykle są udziałem ludzi starszych. Za całe dziedzictwo otrzymali kodeks praw, bez obowiązków, z tym jedynym paragrafem: „Dążyć do zawładnięcia światem, aby użyć wszystkiemi zmysłami, a z reszty sobie kpić“. To też w odróżnieniu do romantyków, aby ich nie widziano, że cierpią — nałożyli na swą twarz maskę cynizmu i wobec życia zajęli pozycję realistyczną. Ale maska cynizmu jest już obgryziona w trzech czwartych: nadszedł czas, gdzie nie wystarcza im już życie mechaniczne, realistyczne, pożądanie bogactwa, czy żądza pieniędzy i brak uczucia. Młodzi są w poszukiwaniu **dyscypliny, wiary i przewodników duchowych.** Poszukują dźwigni, która rządzi życiem.

Lamandé tak formułuje ich wyznania:

„Oddano nas na pastwę życia nagich, a ręce, które kierowały naszą młodością zgięły nasze czoła ku ziemi: zgaszono w nas metodycznie wszelki płomień, któryby nas mógł wznieść ponad nas samych i rzucić nas w żar jakiejś szlachetnej sprawy.

Pożądanie przejściowych przyjemności, pragnienie pieniądza i pochwał, a przedewszystkiem ta pycha, by cały świat sprowadzić do siebie, opanować go, zaabsorbować go stopniowanemi wrażeniami — oto nasze zło. Namiętność, upojenie dla wszystkiego co jest formą, smakiem, zapachem, a wkońcu rozpada się w zgniliźnie, oto czem nas jeszcze żywiono. Nic dla serca““ .

A teraz, posłuchajmy krzyku młodych:

„Wytworni pisarze nauczyli nas zaludniać nasze serca, jak sztuczną sadzawkę, rozpustą i wdrażać w nas smak do rzeczy poniżających. Lecz, skorośmy wychylili czarę, zawładnęła nami napowrót tęsknota za gwiazdami! Szczycono się jednak tem, że ją w nas zgaszono!... Codziennie wchodzimy w muł zła, które nas przeraża, z którego jednak nie możemy sami wyjść... **W kogo wierzyć? W co wierzyć?** Czy jest jaki szczyt dosyć opromieniony, któryby pociągnął nasze dusze? Czego brak naszemu wiekowi i nam, jego dzieciom, to powiewu Ducha. **Ah! niech przyjdzie, zanim dobijemy do dna przepaści, wiara, która uderzy w struny naszej duchowości“.**

Według obliczenia statystycznego, na 33 miljony mieszkańców Polski, ponad 20 miljonów liczą podobno katolicy. Mówię podobno, bo według mnie, niema ich ani sto tysięcy. Gdyby bowiem było więcej konsekwentnych i zorganizowanych katolików, nie mielibyśmy na naczelnych miejscach w państwie ludzi, którzy z katolicyzmem nie wiele mają wspólnego!

A od kogo to zależy?...

Gdzie ja jestem?

Kiedy zważam krótkie trwanie mego życia, wchłonięte w wieczność będącą przed niem i po niem, kiedy zważam małą przestrzeń, którą zajmuję, a nawet którą widzę, utopioną w nieskończonym ogromie przestrzeni, których nie znam i które mnie nie znają, przerażam się i dziwię, iż znajduję się raczej tu niż tam, niema bowiem racji dlaczego raczej tu niż tam, dlaczego raczej teraz niż wtedy. Kto mnie tu postawił? Na czyj rozkaz i zarządzenie przeznaczono mi to miejsce i ten czas? Memoria hospitis unius diei praetereuntis (pamięć przechodnia o jednym dniu przemijającym — Ks. Mądr. V, 15).

— — — — — — —

Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie.

Pascal.

Tylko szatan się nie śmieje.

Nie, wszystko — tylko nie życie religijne: trzebaby „zerwać z nią“ — nie chodzić do bagatel, nie plażować, nie czytać rozkosznych książek, a zato siedzieć godzinami w kościele i przesuwać beznadziejnie różaniec, — czy zalegając ławki słuchać paru Mszy św.! Nie, mam czas na to, jeszcze nie jestem stary, zresztą, gdyby co zaszło, to ksiądz mieszka niedaleko — możemy wówczas pogadać. — Oto usposobienie twoje, tamtego, trzeciego, tych... A tymczasem, jakżeż straszną jest rzeczą tak sobie igrać ze swem życiem! Słusznie pisze jeden ze współczesnych nam duchowo pisarzy:

„Oh, gdyby was można było przekonać do poważnego poświęcenia choćby jednej godziny religji, w przewidywaniu tej długiej wieczności, w której będziecie poważni, wbrew sobie samym! Zaprawdę, możecie się śmiać teraz, ale niema próżnego śmiechu z drugiej strony grobu. Szatani drżą, chociaż się nie kruszą. Wy będziecie, wy właśnie — między temi istotami niedobrowolnie poważnemi, jeżeli teraz jesteście na tyle głupcami, by być wesołkami i beztroskimi: jeżeli jesteście na tyle pozbawionemi umysłu, by w śmiechach, żartach i szyderstwie spędzać tę biedną chwilę, jaką macie tu na ziemi, która zbyt już jest krótką, by można było przygotować w niej całą waszą wieczność, i tę to jeszcze chwilę pomniejszacie, marnując swą młodość w grzechach. Gdybyście tylko mogli widzieć, kim jest ten, który poddaje wam wszystkie wasze próżne myśli, któremi zastępujecie wasze obcowanie z Bogiem, przerażenie, jakieby z tego powodu wami owładnęło, uczyniłoby was poważnymi, choćby już nie religijnymi. Gdybyście mogli widzieć to, co Bóg widzi, te sieci i przynęty, jakie na waszej drodze zastawia szatan, gdybyście mogli widzieć, jak wszystkie wasze lekkoduszne myśli, — które kochacie, a które wydają się wam tak błyskotliwemi i przyjemnemi, więcej przyjemnemi, niż myśli religijne — są natchnione przez tego odwiecznego uwodziciela ludzkości, sprawcy zła, stojącego przy was, kiedy wyśmiewacie religję, zachowującego powagę, chociaż was pobudza do śmiechu, niezdolnego do śmiechu z własnych szyderstw, kiedy tańczących prowadzi was na zatracenie — wówczas, bezwątpienia ogarnęłoby was drżenie, tak jak on drży, kiedy was kusi.

Lecz tego, wy nie możecie widzieć: nie możecie się wyłamać z ułudy, w jakiej żyjecie...“

Zamknięty obóz.

Na łamach znakomitego dwutygodnika „Vie intellectuelle“ wypowiadało się przez kilka miesięcy wiele osobistości francuskich na temat przyczyn niewiary. W konkluzji ankiety i odpowiedzi O. Congar, Dominikanin wypowiedział szereg głęboko przemyślanych uwag, do których nieraz powrócimy. Poniżej przytoczone są dwa krótkie wyjątki.

Pozostaje nam wkońcu stwierdzić to, że podczas, gdy świat nowożytny, odcięty od Kościoła i zamknięty sam w sobie jakby w odrębnych ramach duchowych totalnego życia, idzie drogą własnej ewolucji i według niej rozwiązuje swe problemy, to Kościół również zamyka się i koncentruje sam w sobie, tworząc też oddzielny świat, zasadniczo konserwatywny, zmierzający do zachowania depozytu — świat, w którym ludzie, oddzieleni od życia idącego naprzód, powtarzają w swym własnym języku swe własne zagadnienia, wykorzystowując bogactwa dogmatu prawie jedynie od strony abstrakcyjnej i „scholastycznej“...

Do czegóż prowadzi ten podwójny ruch separacji, jeśli chodzi o świat nowoczesny, a zwarcia się i zamknięcia w sobie, jeśli chodzi o chrześcijan? Prowadzi on do tego, że religja staje się partją, specjalnością, czemś całkowitem, ale odrębnem: staje się sprawą księży i ich klienteli, jak medycyna jest dziedziną lekarzy i ich klienteli: znaczy to, że część życia, a nie całe życie idzie w Chrystusie. Wszystko zmierza do tego, że dogmat staje się opinją poszczególnych jednostek, zleceniem dla pewnej grupy specjalnej.

Ukryty ból.

Niemiecki poeta Chr. Friedrich Hebbel uderza gdzieś w tony w swym wyrazie człowieczeństwa, tak prawdziwe:

Und der ich bin grüsst trauernd
Den, der ich könnte sein.

Oto ukryty ból wielu, jeśli nie wszystkich nas. Patrząc się za siebie, widzi się straconą młodość, lata górne i chmurne wieku męskości i między tem, co kreśliło się jako linję ideału życiowego, a temi zygzakami, po jakich to życie faktycznie szło, widzi się rozdźwięk napawający goryczą do siebie i rezygnacją.

A wówczas na skrzyżowaniu dróg naszego zwątpienia zjawia się, On, Chrystus. I budzą się wspomnienia Ewangelji o robotniku zawezwanym o 11-tej godzinie do winnicy Pana, o Magdalenie, której wiele odpuszczono, bo wiele umiłowała, o cudzołożnicy, której Pan nieba i ziemi nie potępił, ale przebaczył...

O Boże, więc tak jesteś miłosierny?

Jeśli...

Jeśli ci się podoba nasze pisemko, podaj je po przeczytaniu dalej lub kup je dla twoich znajomych. W ten sposób utworzy się z czasem większy łańcuch bratni chrześcijan, którzy kochają jedną sprawę, żyją dla niej jedną myślą i jednem sercem i z utęsknieniem oczekują przyjścia Jednego Pana...

Przegląd prasy.

„Verbum“, wytworny kwartalnik wychodzący w Warszawie, ul. Moniuszki 8 (9 zł. rocznie) — poświęcony zagadnieniom współczesnej kultury. Artykuły niektóre wręcz znakomite i na wysokim poziomie.

Z III-go kwartalnika parę tytułów: Własność chrześcijańska i ubóstwo chrześcijańskie (Journet); Św. Tomasz More (H. Morawska); Prometeusz chrześcijański (R. Bluth); Stanisława Brzozowskiego drogi do Rzymu (Silvester); Perspektywy młodości (Wyka) i szereg innych.

„Wiara i Życie“, miesięcznik, wydawany przez OO. Jezuitów (Kraków, Kopernika 26, prenumerata roczna 5 zł.), pod redakcją znanego konferencjonisty O. E. Kosibowicza. Miesięcznik ten to reflektor, płoszący z zakamarków naszego życia polskiego różnych nietoperzy. Doskonałe są „Sygnały“, gdzie wprawną ręką na ścianie takiej czy innej aktualności wbija się mocno gwóźdź i wywiesza odpowiedni, orjentacyjny napis. Będziemy stale umieszczali recenzje z tego pisma.

„Szkoła Chrystusowa“ — miesięcznik, wyd. przez OO. Dominikanów (Lwów). Roczna prenumerata 4 złote. Pismo to wielce sympatyczne, poświęcone zagadnieniom życia wewnętrznego z tą głębokością i szerokością — jaka cechuje Zakon, mający u siebie największego myśliciela chrześcijaństwa, Św. Tomasza z Akwinu.

„Prąd“ — miesięcznik, wychodzący w Lublinie (Uniwersytet), a wydawany przez Związek Pol. Intel. Kat. (Prenumerata roczna 12 złotych, zniżki dla nauczycieli i studentów). Poważny miesięcznik naukowy, poświęcony omawianiu wszelkich zagadnień życia, zwłaszcza społecznego.

Zadanie katolika.

Praca intelektualna katolika jest pracą trudną, równie trudną, jak i ważną. Jako człowiek, jest on w czasie i poddany jest wszelkim zmiennościom stawania się. Jako członek mistycznego ciała Chrystusa, związany jest z wiecznością, najgłębsze jego życie korzeniami wrasta tam, gdzie nie spotyka się żadna zmiana ani cień zmienności, umysł jego utrwalony jest w Prawdzie jedynej, a wierność tejże jest podstawą całej budowy łaski w nim i dobrodziejstwem, jakiego od niego oczekuje każde stworzenie. To jakby pośredniczenie między czasem a wiecznością jest dla umysłu chrześcijanina krzyżem bolesnym a zarazem misją odkupicielską. Musi on, w każdej chwili zmienny kształt tego świata ujmować myślą w świetle wieczności...

Nie mylmy się: zagadnienia najbardziej zawiłe i najpoważniejsze, w których załamuje się serce i ciało ludzkości, narzucają się dziś inteligencji chrześcijańskiej, jakby dotąd były trzymane w rezerwie do naczelnego ataku: i myśl ta musi się zetrzeć, odrzucić lub zasymilować różne systemy filozofji, różne poszukiwania naukowe i artystyczne, jak i te formy myśli i kultury o rzadkiej technice, a cennej jakości ludzkiej. Dojdzie ona do końca swej pracy, jeśli sama uzbroi się w mądrość najbardziej uformowaną, w naukę najbardziej wymagającą, w wyposażenie intelektualne najbardziej doskonałe i pewne, w doktrynę i metody najbardziej ścisłe i zrozumiałe.

Maritain.

HALLO! TU WYDAJEMY DYNAMIT!

To nie takie straszne! Odrazu nikogo nie zabije! To nawet niewinne: Książka w kuszącej oprawie z ponętnym tytułem: „Zakazana miłość“ — „Damy z półświatka“ — „Ich miłości“ — „Żar“ — pozatem różne tytuły wyczynów kryminalnych, gdzie najdokładniej analizowane są różne tricki handlarzy żywym towarem, kasiarzy różnego kalibru, t. zw. szczurów hotelowych, kieszonkowych majstrów itd.

Trudno, trzeba poznawać świat od podszewki, żeby nie ciebie okpiono, ale byś ty był do tego zdolny. Są to książki zresztą premjowane przez różne Akademje Literatury — przez polskie jury „Nieświadomości literackich“. A więc... Bezcenne te skarby praktyk życiowych mieszczą się w wypożyczalniach krakowskich, przeważnie w rękach niekatolickich i służą do podniesienia moralnej kultury społeczeństwa katolickiego.

Nie czytam!

Wystarczy podejść do t. zw. inteligenta (obojga płci) z katolicką gazetą w ręce i prosić o zakupienie. Skoro usłyszy, że katolicka — nawet nie raczy spojrzeć, czy coś odpowiedzieć — jeśli jest wrażliwszy, powie szczerze: „Mam dość kazań, dopiero co wychodzę z kościoła“. Ale ten sam inteligent, kiedy usłyszy na ulicy, że wyszedł jakiś nadzwyczajny dodatek, „bo kogoś tam zamordowano, lub kochanka oblała witrjolem swego wielbiciela, bo ją zdradzał“ — ten inteligent leci przez całą ulicę za tak błogosławioną wiadomością, a jeśli mieszka na 4-tem piętrze, to nawet nie liczy schodów, ale zbiega prędzej, niż kot. Ci to zamaskowani katolicy żywią różne brukowe pisma, różne wydawnictwa sensacyjno-kryminalne, czy erotyczne! Wszystko to do czasu... ale nie chciałbym być w ich skórze na sądzie ostatecznym! Brr...

Zasypane źródła.

(2) Po kilku dniach wybrałem się do mej znajomej rodziny kupieckiej z liturgicznem apostolstwem. Miałem wytłumaczyć układ Mszy św., będącej centrum życia Kościoła, jako zbiorowego, mistycznego ciała wiernych, z Chrystusem, jako głową i biskupami, jako członkami kierującemi. Msza, to najgłębsze mysterium i najbogatsze źródło mocy i sił chrześcijańskiego życia duchowego.

Tak, ale jak w czyjejś myśli zrealizować konkretnie rozpiętość tego mysterium, obejmującego ziemię i niebo? Jak pobudzić kogoś, by sercem i ciałem włączył swą osobowość w ten jedyny w swej wielkości zespół Chrystusa, Świętych, Aniołów i ludzkości, tak, by z dna jego duszy wypłynęła nuta skruchy, uwielbienia ofiary, by zrodziło się pragnienie pożywania chleba Pańskiego w spólnocie z innymi?

Nie mogłem operować jakimiś mechanicznemi środkami czy suchą metodą szkolną, nie uwzględniając rodzaju ich gleby duchowej, zindywidualizowanej nawykami dziedzicznemi czy nabytemi z tradycji, wykształcenia i środowiska. I dla ziarna Bożego istnieją nieskończone stopniowania gleb duchowych, na których roślinność Królestwa Bożego mniej lub więcej udatnie się przyjmuje i rośnie. Tak mi się zdawało, że ludziom tego pokroju, mieszkającym dziś w 1935 roku, na tej ulicy w Krakowie należałoby może w pierwszym rzędzie poruszyć zastygłą wyobraźnię, wyczarowując przed nią pewną panoramę duchową, zdolną przykuć na chwilę ich uwagę, by następnie małemi dawkami ożywić arterje myśli i serca.

I przypomniał mi się w tym względzie pyszny, barwny, a poetyczny nastrój, jaki daje psalm 83, umieszczony we wstępie do Mszy świętej, psalm śpiewany ongiś przez Izraelitów, schodzących z całej Palestyny do Jeruzalem, na święta Paschy. W duszy zaśpiewały mi pierwsze słowa wersetu:

Jakże miłe są przybytki Twoje, Panie Zastępów,
Tęskni i usycha dusza moja do przedsieni Pańskich
Serce moje i ciało moje radują się Bogu żywemu.

W wyobraźni mojej stanęła wizja Palestyny, krainy dawniej przepięknej, skąpanej w tem przeźroczystem powietrzu i południowem świetle, grającem bogatemi irradjacjami na tle palety śródziemnomorskiej roślinności.

W pamięci poruszyły się, jak struny harfy, słowa Goethego: „Znasz li ten kraj, gdzie cytryny kwitną?...“ a wyobraźnię zaczęły oblęgać poetyczne obrazy Słowackiego, Shelleya, Lotiego czy Fromentina.

Jakbym widział grupki Izraelitów, w ubiorze podobnych do dzisiejszych Beduinów czy Arabów, ciągnących w spiekocie słońca do świątyni Jehowy, Krynicy oczyszczenia i źródła nowych sił duchowych. Jakiż to porywający i pobudzający nastrój, kiedy grupy te śpiewają w drodze te właśnie hymny tęsknoty, skruchy i uwielbienia. Tak, ale jesteśmy w Krakowie. Rzeczywistość. Co świat tamten ma wspólnego z naszym? Kupcowi i jego rodzinie nie były wprawdzie obce pewne doświadczenia zaczerpnięte z dziedziny oczyszczenia i wzmocnienia sił fizycznych. Przecież kupiec jeździł co rok z żoną i córką do różnych „badów“, najczęściej do Krynicy. Ale nawet i do tej Krynicy, nasz kupiec jechał bez uniesień. Osobiście jechał tam dla snobizmu i podtrzymania honoru, że firmę stać na to. Były to jednak wyjazdy niepokojące, bo na toalety żony i córki trzeba nie mało było wydać, a i sam pobyt też ciążył mocno na koncie bieżącym. Tak zwane nastroje przejazdowe zwykle ginęły w piaskach podświadomości, bo kupiec przesypiał w wygodnym przedziale całą trasę. Krynica - Zdrój była więc niejakim pomostem do przerzucenia mych znajomych w świat duchowej Krynicy. Kościół sam, nie budził w nich nigdy uczucia duchowej potrzeby. Uważali to raczej za nieprzyjemny, społecznie wymuszony obowiązek. Kiedy szli do kościoła, to nastroje ich wyłącznie związane były z kręgiem ich arcyziemskich zainteresowań. On myślał o swych subjektach, o potędze reklamy, o wekslach do wykupienia, o konkurencji, o podatkach, o meczu popołudniowym, o dzisiejszym wieczorze u Pollera, o potrzebie nowych znajomości politycznych — musiał też ciągle baczyć, by nie zapomnieć przed tym i tamtym zdjąć melonika z krakowskim „Padam do nóg“, „Sługa pana nadradcy czy pana ministra“. One zaś lustrowały chciwie tualety pań, przeglądały wystawy sklepów, to znów reklamowe gablotki dancingów i kin, żywiąc swoje główiny różnemi hockoklockowatemi, frywolnemi myślami. I tak zadurzeni zapachami tego świata, wchodzili wszyscy w ciemne, ponure mury kościoła, w roztargnieniu zapominając o kropielnicy w przedsionku.

To wszystko uprzytomniłem sobie dość szybko i stało mi się jasnem, że ten mój wstęp nie chwyci. Zacząłem więc myśleć o innych sposobach.

Kłopoty z Ewangelją.

Weźmijcie i miecz ducha, które jest słowo Boże (do Efezów VI, 17).

(2) — Ma foi! Ot i nowe niepotrzebne kłopoty. A to mnie osadził! — monologował pan Kajetan Starodulski po wyjściu Felka. — Mamy naprawdę jakieś niespokojne czasy. Trąbią naokoło o tem, a tu i na własnej skórze zaczyna się odczuwać. Bo, żeby niepokoić swego ojca takiem dziwnem pytaniem, którego nie widzę ani sensu ani użyteczności. Wogóle, kto to wie, czego się człowiek jeszcze doczeka na stare lata, chociaż nie jedno już widział.

I tu w pamięci p. Starodulskiego przesunęły się wspomnienia z dawnych lat, kiedy to pod zaborem rosyjskim posiadał duże włości. Sprzedał je, przeniósł się do Krakowa, pieniądze ulokował w kamienicy i w papierach przemysłowych. Zasiadał też w kilku zarządach przedsiębiorstw i ciągnął spore tantjemy. Dla zabezpieczenia sobie spokojnej konsumpcji, zapisał się do partji.

— Tak, tak, kto wie, co to będzie jeszcze w tej Polsce? Ale z tą Ewangelją — do licha! Tyle lat człowiek przeżył i świetnie się bez niej obywał, a nawet uchodził za dobrego katolika!

Trochę był chmurny, niespokojny, za chwilę skonstatował ze złością, że go głowa zaczyna naprawdę boleć. Przy kolacji siedział ponury i milczący i nie wiele jadł. Wróciwszy do swego gabinetu, zaświecił lampę, oparł głowę o ręce i zaczął medytować: „Co ja Felkowi odpowiem?“ Ale jakoś nic mu się nie kleiło.

— Parbleu, to pewnie to paskudne światło tak mnie razi i przytępia umysł. Zgaszę je i pójdę się położyć — to może w ciemności przyjdzie jakaś kombinacja.

Umysł zaczął się niespokojnie wytężać, by coś spłodzić. Wreszcie zjawiło się coś, co nosiło pozory zbawczego środka. Oto przypomniało mu się, żę słyszał raz, iż Kościół zabrania czytać Ewangelji: wynikałoby stąd, że i mówić o niej nie należy. I dlatego jasnem się stawało, że jeśli Clemenceau mówił o Ewangelji, to chyba na przekorę Kościołowi. Voila, oto napewno i tak musiało być! Nawet wzmocniły się te logiczne rozumowania nowym historycznych przyczynkiem. Oto Kościół trzyma wszystkie książki na indeksie, pozwala tylko czytać małe książeczki do nabożeństwa i jeszcze nudniejszy katechizm. Zatem i Ewangelja też pewnie jest na indeksie. Tak więc wszystko w porządku! Aż mu się zrobiło lekko. Poprawił się na łóżku i w duchu sobie obiecywał, że teraz będzie mógł spokojnie zasnąć. I już spracowane powieki zaczęły mu się kleić... aż tu nagle jakiś uprzykrzony chochlik...

Ni stąd ni zowąd podrażniła go myśl, że przecież gdzieś, kiedyś słyszał czy widział, że Kościół zachęca wiernych do czytania Ewangelji.

— O nieba! — jęknął, trzeźwiejąc na nowo p. Kajetan. — O przebrzydła pamięci, która zwiewasz sen z mych powiek! Teraz jestem zupełnie głupi! Nie wiem czy tak jest, ale nie wiem czy tak nie jest. Jestem prawdziwie w Hamletowskich tarapatach. Co zatem wynaleźć?

Zaczęło mu się wszystko wikłać. Zjawiła mu się wreszcie jakaś dość kulawa i anemiczna myśl, ale się jej uczepił, z braku innych, jak pijany płotu.

— Kościół musiał dawno nie wydać Ewangelji — może się to nie opłacało — a może w tem była jego polityka. Dość na tem, że Ewangelja była białym krukiem... więc jak ją czytać i o niej mówić?

Utwierdzały go w tej hypotezie inne, mocne a prawdziwe spostrzeżenia: oto nigdzie nie widział tej książki — ani w swej własnej bibljotece (za to gwarantował w 100%), ani u swoich kolegów, za to dałby głowę.

— Enfin! — odsapnął p. Kajetan — teraz chyba zajechałem do właściwego portu!

I zasnął. Ale spał niedobrze. Miał jakieś dziwaczne sny o niebie i piekle. Wizja tego ostatniego oblała go potem i zbudziła. P. Starodulski spojrzał na zegarek. Dwunasta godzina. Godzina duchów — brr! Zrobiło mu się nieswojo, naciągnął na siebie kołdrę, żeby się przed złem zasłonić. Mózg znów zaczął drgać — nawiązał do poprzedniej roboty i snuł nowe refleksje.

— A to koszmarne sny! Wszystkiemu winna ta Ewangelja, do spółki z Kościołem. Ale co to jest ten Kościół? Czy jest jeden czy tyloraki, ile jest kościołów w Krakowie? Coś mi syn mówił, że Kościół jest apostolski i... — więcej nie mógł sobie przypomnieć. — Też jakaś instytucja wieloprzymiotnikowa, jak głosowanie!... Ale, ta Ewangelja, Ewangelja... jakiegoż to formatu mogłaby być ta książka, ile też mogłaby ona ważyć... — majaczył, zasypiając ponownie p. Kajetan.

Przenikliwość prawa moralnego.

Wszystko, co przeżywa człowiek jest krokiem naprzód albo wstecz, jest przyrostem światła lub mroku. Wszystko: walki woli, które upływają bez świadka, bez słowa, niewypowiedziane, nie dające się wypowiedzieć: nic z nich nie ginie. Oto jest organizm nadprzyrodzony, który rośnie temi samotnemi czynami duszy, chroni je i zachowuje na wieki.

— — — — — — — —

Każdy osobiście, sam w sobie musi odpowiedzieć, poco żyje, jak żyje i zdać sprawę z każdego drgnienia swej niedostępnej dla zewnętrznej kontroli duszy.

— — — — — — — —

Nie można nic cofnąć, żaden uczynek, żadna chwila nie przemijają bez śladu i odpowiedzialność, jakość naszego życia wiecznego zmieniane są przez nas nieustannie. Świat, o którym mówi nam społeczeństwo, jest światem stworzonym przez życie: wszystko, co może być nazwane, określone, należy już do tego świata. Tu zostajemy wyprowadzeni poza jego granice: nic nas nie ocali; jesteśmy, chcemy czy nie, chcemy tego sami z sobą i chcemy lub nie chcemy tego, zmieniamy nieustannie, przez każdą chwilę, przez nas tak lub inaczej przeżytą, charakter życia, jakiem jesteśmy: może ono nie zmienić się na zewnątrz, zmiany najgłębsze i samotne mogą nie wyrażać się w skutkach podlegających społecznej klasyfikacji, a przecież nie usuwa to tego faktu, że życie, jakiem jesteśmy, jest przez nas określone w pewien sposób raz na zawsze przez każdy nasz moment istnienia. Ten moment przeminął — powiadamy. Cóż z tego? On przeminął, ale to, żeśmy przeżyli go w pewien sposób, nie przeminie już nigdy.

St. Brzozowski.

I to, to może jest straszliwą księgą sądu, w której zapisanem zostało w hieroglifach niezatartych i tajemniczych każde nasze przeszłe słowo. Tak jest: dla żywej istoty ducha o wiele łatwiej daje się pomyśleć, że ziemia i niebo przeminą, niż to, aby mogła być utracona: chociażby jedna tylko myśl, chociażby tylko jeden postępek, aby chociaż tylko w jednym jedynym punkcie rozluźnione mogło być ogniwo łańcucha przyczyn i skutków, jaki świadomie lub bezwiednie raz na zawsze powiązała nasza wolna wola naszą samość bezwzględną.

S. T. Coleridge.

Don Abbondio.

W znakomitej powieści historycznej „Promessi sposi“ (Narzeczeni), która jest perłą literatury włoskiej 19-go wieku, wielki pisarz katolicki Manzoni (nieraz przytacza go Ojciec św. Pius XI) stworzył niezapomniany typ don Abbondia, cofającego się przed wypełnieniem swych obowiązków, w obawie przed możnym i bogatym don Rodrigo. Duch Mamony! Bo tego ducha ma nietylko ten, który chciwy jest pieniądza i sławy, ale i ten, który rzekomo do „robienia pieniądza“ nie dąży, ale chyli głowę przed majątkiem. Uważa taki człowieka bogatego, przez sam fakt jego bogactwa, za człowieka dobrego i godnego wszelkiej czci. Podświadome kłanianie się bożkowi...

MODNE MAŁŻENSTWO.

Była cudna panorama. Świat przystroił się w szatę puszystego śniegu, na drzewach, skrzącego się gęstą, ciepłą okiścią. W powietrzu było wesoło. Ale dyrektor nic z tego nie widział w limuzynie, która go wiozła przez ulice miasta. Dławiła go złość i niecierpliwość.

„Nie! — mruczał — tak na dwa fronty nie będę ciągnął! Zaza zażądała dziś ode mnie futra i pieniędzy na kilkudniowy wyjazd do Zakopanego. Trudno jej odmówić, jeśli się z niej korzysta, a na razie, nie mógłbym się jej wyrzec".

Przypomniał sobie, że poznał ją przed paru tygodniami, na dancingu. Spodobała mu się. Zaofiarował jej posadę sekretarki z pewnęmi zobowiązaniami. Przyjęła: oferta zbyt była kusząca — otwierała przed nią nowe perspektywy życiowe.

„Ale co zrobić z żoną? Nie mogę sobie darować, że uległem konwenansom i zgodziłem się na jakiś religijny ślub z Lalą. Jeżeli przez parę lat żyliśmy tak na wolnej stopie, trzeba było i dalej. Dwa lata temu zrobiłem to kompromitujące głupstwo, niegodne wolnego człowieka. Ale muszę z nią skończyć! Naprawdę przejadła mi się i właściwie już nie spełnia pożądanych dla mnie usług. Ciągle jęczy, że ją ciało boli, że pewne zabiegi nabawiły ją dotkliwych chorób. Zwykły kobiecy flirt! Chce poigrać ze mną, ale to nie chwyci, bo już jej nie potrzebuję. Zaza bije ją bezapelacyjnie: jest o kilka lat młodszą, świeżą, a Lala mimo 35 lat, ma już siateczkę pod oczyma, od skroni zarysowują się małe zmarszczki, czarne jej oczy straciły połysk — ciało przywiędło... Muszę zaaranżować jakąś burdę i przez nią pozbyć się jej, a tamtą wprowadzić".

Nerwowo o t w o r z y ł kluczem drzwi do przedpokoju i nic nie odpowiadając na pozdrowienie Lali, kazał podać obiad. Ale przy zupie zaczął się irytować.

— Właściwie nie rozumiem, poco ty tu siedzisz w domu, żeby nawet nie przypilnować, co służąca gotuje na obiad. To lura, nie zupa!

— Ależ, Dadusiu, to przecież doskonała zupa kalafjorowa. Cóż ci jest, może jesteś w złym humorze?

— Mam być w dobrym humorze z dobą? Ciężko mi już z tobą — sama to chyba czujesz!

— Jakto? — wyszeptała cicho — czy mało ci jestem uległą i poddaną?

— No, no, nie udawaj, przecież wiesz, że my mężczyźni potrzebujemy zmiany — pozatem powiedz mi, co ty dla mnie przedstawiasz — wciąż jęczysz, że masz wewnętrzne bóle — cóż ja mam z ciebie?

— Ależ, Dadusiu, przecież to twoja wina. Poco prowadziłeś mnie do tej poradni świadomego niemacierzeństwa, czy — wlokłeś mnie tyle razy do twego przyjaciela Izaaka, żeby przeprowadzić pewne zabiegi... Wyznaję ci, żem się wyczerpała i raz po razu napadają mnie mdłości.

— No, właśnie, widzę to, żeś się skończyła dla mnie i dlatego oświadczam ci, że musimy się rozejść. Co mówisz, Dadusiu — wybełkotała przerażona — ty byś to zrobił teraz? Byłbyś chyba potworem! Żadnym potworem, ale trzeźwo myślącym człowiekiem, który wszystko układa roztropnie i konsekwentnie.

— Ależ to cynizm! Czy ty się Boga nie boisz?

— No, no słuchaj, czy cię pamięć zawodzi? Pocóż apelujesz do jakichś fetyszów, skoro wiesz, że dla mnie wolnomyśliciela, to pusty dźwięk. Zresztą czy to dla ciebie jaka niespodzianka? Czy nie widzisz, jak wszyscy nasi znajomi czy tu czy w Warszawie zmieniają partnerki? To jest przecież życie! Cóż cię tak jeszcze przeraża? Czyś sama nieraz nie przyklaskiwała różnym hasłom wolnego wyżycia się, głoszonym na naszych odczytach? Czy nie z zajęciem czytałaś różne pisma i książki, polskie i zagraniczne, wprowadzające w nasz oparami klerykalnemi przygnębiony kraj — świeże powietrze? Nadszedł moment, byśmy skorzystali z tych nowoczesnych dobrodziejstw myśli. Przyznasz chyba, że wszystko tu jest logiczne. Oh! Jakie to straszne! Dadusiu, ty mówisz nieprawdę? Ty byś mnie miał porzucić, ty, który tyle razy mi oświadczyłeś, że beze mnie żyć byś nie potrafił, że mnie kochasz do szaleństwa?

— Eh! głupia jesteś! To były tylko słowa. Przecież wiesz, że cię nigdy nie kochałem naprawdę: potrzebowałem cię i to wszystko — a teraz mam inną, młodszą — już mnie nic z tobą nie wiąże, możesz odejść...

Lali wszystka krew uciekła z twarzy. Zdawało jej się, że gdzieś zapada, że całe życie z niej wycieka. Popatrzyła na niego. Siedział z drwiącą twarzą: tłuste, lubieżne wargi grały mu triumfem.

Machinalnie podeszła do niego i plunęła mu w twarz, poczem, jakby na nic nieczuła, chwiejnym krokiem skierowała się do swego buduaru. Przemówił przez nią instynkt niezniszczalnej godności kobiecej.

W nim zagrała krew. Pobiegł za nią i zaczął krzyczeć:

— Jak śmiałaś, plugawa dziewko, zrobić mi ten afront, ty, której łożyłem na wszystkie zachcianki, maście, perfumy, tualety, wyjazdy, kuracje. Śmiałaś mi plunąć w twarz, mnie twemu dobroczyńcy, któremu tylko marne za to oddawałaś usługi!

Nie mógł dalej mówić: piana toczyła mu się z ust. Z wściekłości pchnął ją tak silnie, że upadła na parkiet. Wtedy zaczął ją bezlitośnie kopać.

— Ty, ladacznico, — syczał przez zęby — nie potrzebuję cię, mam cię dość! Wynoś się z mego domu!...

Ale Lala nic. Z ust jej wychodziły tylko jakieś nieartykułowe jęki, ciałem wstrząsały konwulsje.

Więc zostawił ją i nie przywołując szofera, sam zasiadł przy kierownicy i szybko podprowadził wóz pod dom swego przyjaciela Barucha. Kiedy znalazł się u niego, nie potrzebował się żenować: ten bowiem hołdował równie pięknym, jak i on zasadom. Baruch śmiał się serdecznie z całej afery — gratulował dyrektorowi, że nareszcie zdobył się na akt niezależnego człowieka. Radził jednak zachować pewne konwencjonalne pozory, bo nie nadszedł jeszcze czas zupełnej szczerości, jeszcze pełno jest zakłamania. Możesz zmienić rękawiczki, jak się zużyją, nikt nic nie powie, ale jak zrobisz to samo z przydartą kobietą, to wszyscy udają, że coś w nieporządku i krzyczą.

— Takie czasy! — śmiał się. — Otóż, żeby nie ucierpiały na tem twoje interesy, musisz głosić, że cię haniebnie zdradzała, że jesteś zmuszony ratować swój honor. Dasz coś grosza, to się ułoży odpowiedni komunikat. Nie możesz też, na razie, zrobić się tym, co klerykali nazywają „bezbożnikiem". Zmienisz więc etykietę religijną: to nie trudna sprawa — i pod płaszczykiem tej nowej religji zalegalizujesz twoją nową spółkę eksploatacyjną z Zazą. Po jakimś czasie, gdyby zaszła potrzeba, możesz manewr powtórzyć. Zawsze będziesz przytem uchodził za porządnego człowieka.

Dyrektor wyszedł zadowolony.

ZACZADZENI.

Zaślepił oczy ich, i zatwardził serce ich. (Św. Jan XII, 40).

Prasa, zwłaszcza codzienna, ma niesłychane znaczenie dla urabiania życia duchowego i umysłowego światopoglądu człowieka. Dla tysięcy i miljonów ludzi stanowi ona codzienną, wyłączną pożywkę. Stąd słuszne, przysłowiowe wprost powiedzenia: „jaka prasa, taki lud“ i „powiedz mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś“.

Dlatego zarząd „Pralni od czyszczenia brudów moralnych naszego miasta“ (spółka z ogr. odpow. — jeszcze nie zarejestrowana) postanowił na pierwszy ogień puścić sprawę prasy miejscowej i najazdowej. Uderzono odpowiednio w bęben reklamy i pierwszy seans przedstawiał się wcale imponująco i barwnie. Na sali było trochę chustek, ale grubo więcej kapeluszów, nie mało było młodych i z łysinami, piórokratów i różnych profesorów, ale i mistrzów od kopyta i kielni.

Z umowy reklamowej, mieli to być „pełnej krwi, sztandarowi“ katolicy. Przy wejściu na salę wyłożono listę ewidencyjną, gdzie „prawowierni“ mieli podać, jakie kupowali i czytali dzienniki, tygodniki i miesięczniki. Chodziło tu o pewne zorjentowanie prelegenta, który, mówiąc nawiasem, czuł się trochę nieszczęśliwie i nieswojo, wiedział bowiem, czem to pachnie „wkładać kij w mrowisko“ i zaczepiać prasę. Według polskiego zwyczaju, dyrekcja przetrzymała naiwnie punktualnych o dwa akademickie kwadranse, aby „dobić do cyfry“.

Parę minut przed rozpoczęciem imprezy, patentowany i odpowiednio na - tempo - wany statystyk sporządził analizę listy. Kiedy ją wręczono prelegentowi, o mało na miejscu „nie zrobił się nieboszczykiem“. Przecierał oczy, ale nie pomogło nic: czarno na białem stało, że z pośród 306 zebranych katolików:

70% czytało prasę brukową, t. j. taką, która zapycha swe szpalty odpowiednio przyprawionemi ciekawościami z alkow małżeńskich, z buduarów amantów, czy lupanarów, opisami morderstw i udanych trików złodziejskich, ogłoszeniami środków antykoncepcyjnych oraz uświadamiających bibljotek i t. d.

24% czytało t. zw. wyższą prasę informacyjną, czy neutralną, która do olbrzymiej dzieży ciasta, zapuszczonego wyrafinowanie zepsutym kwasem tego świata, wrzuca od czasu do czasu parę rodzynek trzeciej sorty informacyj katolickich — na przynętę głupim katolikom i by uśpić ich czujność i sumienie.

5.5% czytało miesięczne dewocyjne pisemka.

0.5% nic nie czytało (bodaj to narodzić się analfabetą i nim już pozostać!).

Tak wyglądała rzeczywistość, straszna rzeczywistość! Byłaby ona przeraziła obojętnego, a cóż dopiero naszego prelegenta, który był gorliwym katolikiem, szczerze zatroskanym o dobro dusz swych bliźnich. Boże, powtarzał sobie bezwiednie i jakby sparaliżowany, czy to możliwe? Nie, nigdy nie dałbym był temu wiary, gdyby nie oni sami. Boże, ależ ci biedni ludzie są w okropnem niebezpieczeństwie... I może tak jest (o, co za straszna myśl!), że już nietylko narażają zbawienie swej duszy, ale że dziewięć dziesiątych z tych, co są tu na sali, jest w tej chwili trupami duchowemi i gdyby nagle otwarła się przed nimi otchłań wieczności, to oni... Nie, nie mogę nawet tego pomyśleć... Oto ciężar gatunkowy ich życia na które składają się ich własne myśli, przeżycia i pragnienia, nieubłaganie i nieuchronnie prowadzi ich do swego przeznaczenia. I pomyśleć, że oni jakby nic o tem nie wiedzieli! Można dostać obłędu! Jakżeż oni są **zatruci, zaczadzeni!** Będą się nawet upierać, że tak nie jest, że to przesada. Przecież się ruszają, chodzą, biegają, jedzą i piją, bawią się i tańczą — rozmawiają i śmieją się, pracują i biorą pensje, zarobki, żenią się i mają dzieci... A więc żyją, jak wszyscy, dobrze im się powodzi, są zdrowi... Cóż więc? Wszystko jest w porządku, w niczem nie czują się winni, czy za coś odpowiedzialni. A sumienie? A wieczność? — Eh! Dajmy spokój głupstwom!

Prelegent wobec takiej niewrażliwości moralnej swych współwyznawców, nie wiedział, co począć. Straszną wymową cyfr czuł się tak obezwładnionym, że widział się bez sił do wygłoszenia odczytu. I co miał mówić? Był przygotowany na to, że będzie miał przed sobą uświadomionych katolików, którym tylko coś niecoś należało zaostrzyć zmysł krytyczny, by stali się gorliwymi apostołami dobrej prasy. Ale tak, jak jest? Prelegent wybrał się, by poszukać dyrektora i oświadczyć mu, że z powodu wewnętrznego wzburzenia nie jest w stanie nic powiedzieć. Dyrektor jednak dyskretnie gdzieś się zapodział. Na sali dawał się słyszeć pomruk. Czas byłoby chyba już zacząć... wpadł zadyszany porządkowy, ale umilkł, widząc spoconego i zmieszanego prelegenta z nieszczęsną listą w rękach. Ten jednak nie mógł się już cofnąć, zobowiązał się. Chwiejnym krokiem i z beznadziejnością w duszy wyszedł na scenę. Spojrzał. — Niestety, straszne niestety! Rzeczywistość potwierdzała się! Wszyscy oni mieli zamglone, jakby uśpione oczy.

I przypomniały mu się słowa Pana nieba i ziemi, które łatwo było zastosować do stanu ich duszy:

„Jeśliby oko twoje złe było, wszystkie ciało twoje ciemne będzie“ (Św. Mat. V, 23).

Zupełnie wytrącony z równowagi, zaczął bełkotać:

Drodzy Bracia i Siostry!

Proszono mnie, bym... dał wam... pewne pouczenia... o prasie. Nie przeczuwałem, że... wy, tak... niespodziewanie dacie mi... pierwsi... lekcję, straszną lekcję poglądową... Jeszcze teraz... nie mogę... przyjść do siebie... Jestem tak bardzo... zaniepokojony... o wasze.... wasze dusze. Czuję się słabym... nie mam... sił mówić. Wybaczcie mi... drodzy Bracia, ale... naprawdę... ja jestem nie winien... To wy sami...

Nie dokończył, bo jak z pod ziemi wyrósł obok niego sam dyrektor, przerażony i okropnie zmieszany.

Drodzy Bracia katolicy! zaczął mówić, miejcie litość! Ten młody człowiek doznał w ostatniej chwili okropnego wstrząsu, z powodu tej listy statystycznej, która była u wejścia. Nie rozumiecie? Prawda, to dziwne... Drodzy Bracia! Jednak... takie chwile, jak dziś, zdarzały się nieraz na scenie. Moljera, wielkiego komedjopisarza francuskiego i artystę, wyniesiono z połowy sztuki, umierającego. Nikt się wówczas nie oburzył... I was, drodzy Bracia, ośmielam się o to prosić... On nic może mówić... On jest słaby... Widzicie, jak się zatacza... Przebaczcie mu...

Prelegenta wyniesiono ze sceny.

NIE MOŻNA TAK!

Pewne pismo, które się chce uważać za arcykatolickie, umieściło artykuł, w którym zupełnie trafnie podniesiono, że „cynizm moralny rozkłada rodzinę polską“. — Niestety, na czwartej stronie pisma znajdywała się reklama filmu, wyzywającego swym cynizmem. Znowu duch Mamony! Czy takie pismo może cieszyć się błogosławieństwem Bożem?

Wychowanie społeczne.

To jest przykazanie moje,
abyście się społem miłowali,
jako was umiłowałem.
(Św. Jan. XV, 12).

Słowo „społeczny, społeczna, społeczne“ stało się artykułem codziennego zapotrzebowania. Używa się go prawie do wszystkiego, jak soli — a więc do zupy, do sosu i nawet do kompotu z jabłek. W imię dobra społecznego pakuje się wszystkich do jednej partji, z gorliwości społecznej, ktoś robi się osłem, by pobierać 1000 zł. miesięcznej djety, tamten rozpruwa kasę, by uspołecznić unieruchomione pieniądze, ten wreszcie bierze ostatnią krowinę chłopu, na rzecz dobra społecznego. Magiczne słowo, Schlagwort, up-to-date, à la mode. Należy uspołecznić wszystkich i wszystko: człowieka, konia, kanarka, pogodę i humor.

Trzeba jednak zacząć od młodych, bo to plastyczna glina, albo oni — albo nikt. Systemem etatystycznym stwarza się ósmy monopol wychowania społecznego w szkole, który otrzymują w koncesję pan srąb i pani straż. Ta miła spółeczka zaczyna pracować i urabiać glinę wystrzałami z kanonów, zaopatrzonymi w nowoczesne „izmy“: humanitaryzm, państwowizm, monopartyjizm — antyklerykalizm... izm... izm... (aż do znudzenia).

W rezultacie czysty humbug, bo najdoskonalsze wychowanie daje rodzina... (Eh, co tam?) — tak, właśnie rodzina i to ta „głupia“ chrześcijańska rodzina, bo w niej panuje nadprzyrodzona miłość bliźniego! Śmieszne! Śmieszne podwójnie (szkoda, że nie więcej!). Nie wierzycie? No pewnie, nie wolno wam w to wierzyć! Tymczasem, maleńka próbka poglądowa od przeciętnego katolika... Souffrez, qu'il vous la donne! (mówiąc stylem moljerowskiego Mizantropa).

— — — — — — — —

— Gucio, ty już skończyłeś, a ja tak tu się mozolę nad tym rysunkiem geometrycznym!

— Ależ, Janeczku drogi, bardzo się cieszę, że będę ci mógł pomóc. Troszeczkę źle zrobiłeś, widzisz tę linję, inaczej należy ją przeprowadzić — wymaż tę, ah! nie masz gumy, zaraz, zaraz dam ci swoją — mam bardzo dobrą — a gdzie masz cyrkiel?

— Mam owinięty w szmatkę, żeby nie zardzewiał. Wiesz, to taki dobry cyrkiel, muszę cię, Guciu, jeszcze raz ucałować, żeś mi go sprezentował.

— Eh, to głupstwo, Janeczku, jesteś moim bratem, chciałem ci zrobić radość. Wiedziałem, że go potrzebujesz, ale że twoje oszczędności nie pozwalały ci go zakupić w tym miesiącu, bo na ulicy spotkałeś ubogiego i dałeś mu połowę, później dałeś resztę na L. O. P. P., na F. O. M. Ja miałem trochę więcej, bo nie byłem w tym miesiącu w kinie, więc kupiłem ci, to takie proste, Janeczku...

— A czy pójdziemy do kina w tym tygodniu, Guciu?

— Nie, nie pójdziemy, bo mamusia mówi, że program dla nas jest nieodpowiedni, a my mamusi musimy słuchać, bo ona jest nasza...

Chłopcy spojrzeli na siebie oczyma, pełnemi dumy.

— Zresztą, wiesz co, Janeczku, tatko mówi, że teraz są ciężkie czasy, że tyle jest dzieci, które nie mają co włożyć do ust, zima jest, a nie mają butów. Nie możemy o kinie za wiele myśleć... Tatko zresztą mówi, że trzeba się hartować

Odetkajmy uszy.

Bardzo przepraszam za taki tytuł, ale zgłaszam go, jako „nagły wniosek“ ze względu na konieczny pośpiech. Pośpiech ten zaleca nam Ojciec św. w Encyklice „Quadragesimo Anno“. Nie wierzycie? Dobrze, wobec tego wyciągam tekst i czytam:

„Przyjmijcie zasłużone uznanie, a z wami niech je przyjmą wszyscy, tak duchowni, jak i świeccy, których z radością widzimy jako waszych codziennych współpracowników i dzielnych pomocników w tem wielkiem dziele, mianowicie ukochanych Synów naszych z Akcji Katolickiej, którzy ze szczególną gorliwością współdziałają z Nami **w dziedzinie społecznej,** ale ona z Boskiej woli stanowi prawo i obowiązek Kościoła. Tych wszystkich gorąco napominamy w Panu, by się **przed żadnym trudem nie cofali,** by się nie dali żadnym przeszkodom złamać, lecz by z dnia na dzień rośli w męstwo. Trudnem zaiste jest dzieło, do którego wzywamy: wiemy doskonale, jak wielkie są do pokonania trudności i przeszkody z obydwóch stron, ze strony klas wyższych i niższych społeczeństwa. **Nie wolno jednak upadać na duchu:** wszak na tem polega prawdziwe chrześcijaństwo, by mężnie stawać tam, gdzie gorąca wre walka, a ciężkie trudy są udziałem tych, którzy jako dobrzy żołnierze Chrystusa, do Jego orszaku chcą należeć“.

Tych, którzy mi nie wierzą, bo to „tak ostro napisane“, odsyłam na str. 139 Encykliki, wydanej przez Radę społeczną przy Prymasie Polski. (Do nabycia: Księgarnia Krakowska, ul. Św. Krzyża 13).

Karol i Maciej.

Mieszkali obaj w jednej, odrapanej kamienicy na przedmieściu. Karol był murarzem. Chłop z niego był niestary — żył w kawalerce.

Maciej był szewcem, miał żonę i pięcioro dzieci — wszystko gnieździło się w jednej stancji. Obaj uczciwie pojmowali pracę, ale Karol lubiał zaglądać do kieliszka, to też prócz trochę garderoby spodniej i tego, czem przykrywał swój grzbiet, nie wiele miał. Maciej przez to, że dawał dobrą skórę, a nie tekturę, liczył za swą pracę skromnie — też nie był Bat'ą, ale zjeść zawsze miał co i dzieci uczciwie wychowywał.

Coś ich jednak dość zasadniczo różniło.

Oto Karol był socjałem — wprawdzie takim polskim socjałem, co w niedzielę szedł do kościoła na dziewiątą — a przez cały tydzień wygadywał z kolegami na księży i składki dawał na organizację, której pierwsze początki dał żyd, Karol Marx, a u nas naczelny wpływ mają na nią żydzi.

W tem jednak Karol nie mógł się połapać. Maciej znowu należał do swojego cechu i chociaż był pobożny, nie należał do żadnej katolickiej organizacji. Wprawdzie powstało w parafji jakieś katolickie Stowarzyszenie mężów, ale Maciej, który za cysorza Franciszka (niech mu ta Pan Bóg wszystkie grzechy odpuści, bo to były fajne czasy!) służył w Landwerze z powodu X-beinów, też wołał teraz trzymać się pospolitego ruszenia katolickiego.

Mieli też obydwaj inne usposobienia. Karol był żywy, ale trochę wyśmiewca, Maciej poważny, ale nieco niedołęga. Między nimi przychodziło nieraz do utarczek słownych na punkcie społecznych reform. Raz po 15-tym maja Karol zaczepił Macieja:

— I cóż, wy katolicy, zawodowe stękajły i fujary, znowu wynaleźliście jakąś procesję, którą widziałem wlokącą się po ulicach, kiedyś piętnastego? Cóż to znowu za święto czy intencja?

— To nie żadna procesja, Karolu, ale to coroczny obchód dwóch papieskich Encyklik społecznych.

— Obchód — powiadasz, a to pewnie cała wasza robota społeczna. Dobrze to pasuje do was, bo „obchodzić“ coś, to znaczy czegoś unikać... Możecie przez sto lat tak dreptać po ulicach w babskiem towarzystwie, ludzie się do wszystkiego przyzwyczają i na was patrzeć nie będą, chyba, że wytoczycie parę wrzaskliwych muzyk i urządzicie ranny capstrzyk. Ale cóż to są te Encykliki, Macieju?

— Encykliki, to są listy pasterskie papieża do całego Kościoła katolickiego.

— No, a czy one noszą jaki tytuł?

— Tak, jedna Encyklika o kwestji robotniczej, papieża Leona XIII, nosi nazwę łacińską od pierwszych swych słów: Rer... rer... lel... rerum nov...

— Masz babo placek, pewnie „lelum polelum“ — śmiał się Karol.

— „Rerum novarum“ — zebrał nareszcie do kupy Maciej.

— No, to ci się udało. A druga jak?

— Druga Piusa XI, o przebudowie ustroju społecznego, nazywa się Quadra... quadra... — krztusił się Maciej, ale nie mógł sobie przypomnieć.

— Może o kwadratowym ośle, jak ty? — szydził Karol. — Nie wiesz, bo pewnie nigdyś ich w rękach nie miał.

— Nie, nie miałem — odparł trochę zawstydzony Maciej.

— No tak, racja, przecież to listy, które nie są drukowane. Skądże mógłbyś je mieć, przecieżeś nie biskup.

— Ale właśnie, że nie, Karolu, bo one są drukowane i to w różnych wydaniach, ale ich nikt nie czyta, ani księża, ani tembardziej świeccy. Podobno w innych krajach coś tam z nich robią, ale u nas jeszcze tego nie potrzeba.

— Dobrze mówisz, Macieju, u nas jest socjalizm, to on starczy za wszystko: to prawdziwy obrońca uciemiężonego ludu. Wasi księża i działacze to nieuczciwcy, którzy gadają do biednych ludzi o miłosierdziu, to znów o potrzebie ubóstwa i pokory, a sami mieszkają wygodnie, jedzą do syta, trzosik sobie statecznie ładują i tyle ich wzruszają społeczne nędze, co mnie ich zachwalane niebo czy piekło... — Urwał jednak swój zwykły repertuar, bo widział, że Maciej się nasrożył, a nie dobrze było z nim zaczynać. — No, no, stary, nie marszcz czoła, bo ci z tem nie do twarzy, a o Encyklikach pogadamy jeszcze, jak się zbierzesz na ambicję i kupisz je. Serwus, miewaj się.

Kwestja społeczna, to najpierw kwestja moralna.

Jeden ze znajomych zapalił się dość nagle do spraw społecznych i żeby się nie nazywało, że idzie na ślepo, chwycił za jeden z podręczników ekonomji społecznej. Na swoje pierwsze zdziwienie znalazł aż 19 definicyj t. zw. kwestji społecznej, do której autor podręcznika dorzucił swoją 20-tą pigułkę. Do licha! Bądź tu zatem mądry! Znajomy nie wiedział, czy nauczyć się ich wszystkich na pamięć, czy je wypisać na zwijkach papieru i wyciągnąć losem. Miał jednak blade przeczucie, że to nie byłaby metoda naukowa. Uświadomił sobie też szybko, że współżycie ludzi nie może być zawieszone do czasu, aż tych dwudziestu zgodzi się na ostateczną definicję. Ludzie bowiem się rodzą i umierają, kochają się, ale może i więcej się nienawidzą, produkują tanio, a sprzedają drogo, pożyczają się i nie oddają — robią różne „walki klas“ i wymyślają sobie gorzej, niż w Sejmie, jedni mają pieniędzy, aż im się kieszenie od spodni obrywają, u drugich kiszki własnego żołądka nie mogą się doczekać funtowego ładunku, raz na dobę. — Jak zaczął myśleć mocniej (co mu się rzadko zdarzało) nad różnemi zjawiskami współżycia ludzi, w głowie zrobiła mu się taka gmatwanina, że musiał ją prędko oblać zimną wodą, żeby przyjść do siebie. I nagle przyszła mu zatrważająca myśl: czem to wszystko jest powiązane, na czem to wszystko stoi? Przypominał sobie z fizyki, że spadek jakiegoś ciała fizycznego z takiej czy innej wysokości podlega pewnym matematycznie, a więc ściśle określonym prawom. Między ludźmi niema „spadania z wysokości“, są inne działania, ale czy one podlegają jakim prawom i jakim? Wiedział, że człowiek był złożeniem ciała i ducha, i że pierwsze podlegało prawom materji, a drugie?... też napewno jakimś prawom, bo przecież niemożliwe, by działanie ludzkie miało pozostać w stanie nieokreśloności. Jakoś w związku z tem przewinęła mu się przez głowę myśl o wolności woli człowieka. Prędko ją przepchnął przez pole swej świadomości, żeby chociaż „na razie“ nie mącić sobie bardziej prymitywnych poszukiwań. Ale nie wiele znalazł.

Aż raz na kazaniu usłyszał, że tak jednostką, jak i ludźmi, żyjącemi w grupach, rządzi prawo moralne. Prawo? A więc dekrety Pana Prezydenta, rozporządzenia pana ministra, nakaz policyjny pod osłoną karabinu? Moralne, a to co? Parę razy słyszał od jednego ze znajomych wygadywanie na niemoralność złodzieja, który mu zabrał zegarek, ale tenże znajomy ukradł żonę trzeciemu i wszystko było w porządku.

Ale kaznodzieja ciągnął, że prawo moralne zapisane jest w naturze człowieka. Ach! w naturze człowieka! I przypomniał sobie, jak jego kolega, nabiwszy drugiego porządnie po twarzy, przepraszał go później, tłumacząc się, że to winna temu „jego natura“. Czyżby o takiej naturze była mowa?

Wolnomyśliciele też mają „swoją naturę“, którą rzekomo wynalazł im Darwin; dla nich to zwierzątko jest jednak za subtelne i w kwestjach np. małżeńskich przyjmują postawę bardziej utwierdzonego na ziemi czworonoga z ryjem. Z „natury“ mają widocznie zamiłowanie do pewnych rzeczy...

Ale kaznodzieja nie pozwolił mu przypominać sobie różnych „natur“, bo ciągnął dalej: Prawo moralne zapisane jest prawie całe, jako prawo natury człowieka i jako prawo społecznego współżycia ludzi, w Dekalogu (10 przykazań Bożych). Nie wierzycie? Zaraz, wykażę wam to na poczekaniu! I zabrał

i odmawiać sobie dozwolonych przyjemności, bo kiedyś Ojczyzna może od nas zażądać wielkich ofiar, a wtenczas...

— Masz rację, Guciu!

— Ale, Janeczku, co tu masz?

— Ach, to zeszyt Frania, mojego kolegi. W tym roku zapisał się do naszej klasy. Jego ojciec jest biednym krawcem. Mieszka ich pięcioro w jednej stancji. Franio jest troszeczkę słaby w niemieckim, chcę mu pomóc, zato świetny w innych rzeczach i bije mnie bezapelacyjnie.

— To ja wam obu pomogę, Janeczku, ale wiesz co, jak przyjdzie Franio, damy mu podwieczorek: może on go nie ma w domu, u siebie.

— A wiesz co mówi tato, że kto ma więcej, winien jest temu, który ma mniej!

Wtem ozwały się przerywane i ciche sygnały dzwonka.

— Ach! To Franio! Franio! — i obaj chłopcy wybiegli naprzeciw Frania...

— — — — — — — — —

Eh! to nie może być to... to za proste, za naiwne, za katolickie — szepczą z pogardą, pan srąb i pani straż. — Na to się nie możemy pisać, bo co powiedzieliby nasi przełożeni „wolno myślący“? To zresztą nie ma stylu poważnego, brak powołania się na współczesnych autorów, nie są uwzględnione ostatnie rewelacyjne przyczynki metodologiczne pana Zrąb-Zrąbowicza alias prof. Alfy Omegi, potrójnego doktora filozofji ścisłej i nieścisłej pedagogji, oraz moralności niezależnej. Nie, to nie może być rodzina... Nie, to nie może być!...

Niestety! To tak i jest... to tak i jest!...

ŚW. TOMASZ Z AKWINU.

Św. Tomasz z Akwinu uczy, że człowiek potrzebuje pewnego minimum dobrobytu i zabezpieczenia materjalnego, aby mógł rozwinąć życie cnót. Nauka ta oznacza, że nędza jest z punktu widzenia społecznego — jak to dobrze zauważyli Leon Bloy i Peguy — rodzajem piekła; znaczy ona również, że takie warunki społeczne, które narażają wielką liczbę ludzi na bezpośrednią sposobność grzechu, domagając się od tych, którzy chcą to prawo Boże wykonywać, jakby heroizmu, takie warunki należy bez wytchnienia potępiać i starać się je zmienić.

Maritain.

W KRAKOWIE...

W dniach 15—21 grudnia b. r. odbędzie się w Krakowie XIV Tydzień społeczny Młodej Inteligencji Katolickiej. Tematem tegorocznego Tygodnia będzie zagadnienie pracy, omówione przez wybitnych uczonych i fachowców z całej Polski. Z pośród prelegentów należy wymienić X. Rektora K. Michalskiego, O. J. Woronieckiego O. P., X. Rektora A. Szymańskiego, X. Biskupa Dra T. Kubinę, prof. K. U. L. Dra L. Górskiego, prof. U. J. Dra W. Woltera, prof. K. U. L. Dembińskiego, X. Dra Piwowarczyka i i. Szczegółowe informacje i programy, oraz zgłoszenia w Komitecie organizacyjnym: Kraków, ul. Straszewskiego 18 a (II p. oficyny, między godz. 19—20, prócz poniedziałków i czwartków).

DYSKUSJA.

W lecie 1935 r. odbył się w Angers XXVII Katolicki Tydzień Społeczny, poświęcony zagadnieniom ustroju korporacyjnego. O ile wszyscy katolicy godzą się na zasadnicze wywody i konkluzje uczo-

nych prelegentów, o tyle w praktyce są rozbieżności, powstałe stąd, że jedni są za natychmiastowem wcielaniem zasad chrześcijańskiej nauki o korporacjonizmie, a drudzy uważają, że wobec opanowania związków zawodowych i to klasowych przez socjalizm, zaś organy państwowe przez niezdrowy parlamentaryzm, należy zaniechać żądania pewnych ustawodawczych przepisów, idących w kierunku zwiększenia kompetencji i władzy związków zawodowych. Za działaniem bez odwłoki wypowiada się organ Tygodni Społecznych „Chronique sociale" w swym listopadowym numerze.

Z RAJU BOLSZEWICKIEGO.

Perjodyk francuski „Documentation catholique" podał w swym numerze z 10. X. 1935 r. zwięzły zarys wyników pierwszej piatiletki w Rosji (1928—1932) i postępy drugiej piatiletki (1933—1937). Bibljografja, odnosząca się do omawianego okresu 1934—1935, podana została na 20 przeszło stronach dwuszpaltowych. O ile na pierwszą piatiletkę wydano 50 miljardów rubli, to na drugą preliminowano 133 miljardy. Wyniki i to znaczne w przemyśle, są bezsporne, natomiast w rolnictwie piatiletka zawiodła naogół.

Z punktu widzenia ludzkiego i etycznego reżim ten należy jednak bezapelacyjnie potępić. Metody bolszewickiego produktywizmu, nie liczącego się ani na jotę z życiem i godnością człowieka — są wyrazem najskrajniejszego i najbardziej brutalnego kapitalizmu.

Rewelacyjne światło rzucają na te haniebne stosunki w Bolszewji, wydawnictwa dokumentacyjnego ośrodka: „Istina" w Juvisy (Francja). Z nich widzi się, jak cały ustrój jest zamaskowaną eksploatacją, przez parę tysięcy ludzi, przeszło 150 miljonów ludności.

Dobrze byłoby, aby nasi adoratorzy z „Nieświadomości literackich", jak i parodniowi reporterzy i komiwojażery publicystyki zapoznali się z tem wydawnictwem i nie nabijali głowy łatwowiernych swemi sztucznemi spostrzeżeniami.

OCENA KSIĄŻEK.

Przeprowadzamy recenzję tylko tych książek, które przesłane są do Redakcji. Broszur dewocyjnych nie recenzjonujemy.

się do tego z pasją, a był to specjalista! Rozwinął on hypotezę świata, w którymby nie chciano stosować Dekalogu (to nie zupełnie fikcja, i dlatego tak nam wszystkim źle!). Obraz był straszny i przygnębiający! Mimowolnie każdy złapał się za kieszeń i podejrzliwie zerknął na sąsiada, mąż nie mógł sobie darować, że żonę zostawił samą w domu, rodzice byli zadowoleni, że dzieci nie były razem i nie dowiedziały się o możliwości obywania się bez czwartego przykazania, jakiś $^1/_{10}$ miljoner z gorączką przedzierał się przez tłum, bo nie był pewnym, czy zamknął swą kasę ogniotrwałą na cztery kluczyki wertheimowskie... Tak, Dekalog był i jest pierwszym kodeksem życia społecznego, ważniejszym od 17-tu roczników Dziennika Ustaw, prawdziwych „silva oscura" Dantego.

Przemiany społeczne.

Ustrój społeczny wymaga bezwzględnie naprawy. Do tego wniosku zmusza fakt, że na arenie społecznej figuruje już jako stałe zjawisko, proletarjat żyjący w niezasłużonej, beznadziejnej nędzy i że w podziale własności zachodzą różnice rażące i nieuzasadnione. Nie jest zadaniem Kościoła ustalać przyszłe formy ustrojowe lub technikę i tempo przemian. To jest rzeczą teoretycznych i praktycznych fachowców, którzy główne zasady przebudowy wyprowadzać powinni z samego życia społeczeństwa. Sprawą państwa będzie zdrowe zmiany poprzeć i nowe formy życia swą powagą usankcjonować. Obowiązkiem Kościoła zaś jest podać etykę zmian ustrojowych i wyświetlić ze strony moralnej takie zagadnienia, jak stosunek jednostki do społeczności, prawo własności, uwłaszczenie proletarjatu i t. d. Jakkolwiek bowiem wskutek przebudowy niejedno zmienić się musi, co jest formą, zwyczajem i nastrojem dotychczasowych stosunków społecznych, należy bezwzględnie uszanować naturę ludzką, istotne prawa jednostki do społeczności, prawo własności, uwłaszczenie proletarjatu itd.

Jakkolwiek bowiem wskutek przebudowy niejedno zmienić się musi, co jest formą, zwyczajem i nastrojem dotychczasowych stosunków społecznych, należy bezwzględnie uszanować naturę ludzką, istotne prawa jednostki i to co jest przyrodzonym, etycznym nakazem. Do ulepszonej zbiorowości powinien obywatel mieć zaufanie, a będzie je miał wtedy, gdy się w niej będzie czuł człowiekiem i gdy w niej tkwić będzie dzięki swej kulturze społecznej i z nakazu swego społecznego sumienia. Z tej wiary zrodzi się twórczy duch obywatelski, od którego losy nowych form społecznych w wielkiej mierze zależeć będą.

(Z przedmowy Kard. Prym. Hlonda do polsk. wydania Encykl. Q. A.).

FUNDUSZ PRASY.

„NASZA PRZYJAŹŃ" powstała z wysiłku paru ludzi niezamożnych, ale gorliwych dla Sprawy Chrystusowej. Setki egzemplarzy rozdawanych jest zadarmo biednym braciom w parafji. Osoby, któreby nam chciały dopomóc w naszej krucjacie dobrego słowa, prosimy o przesłanie choćby drobnego grosza na ręce Ks. J. Kyseli, ul. Kopernika 9 w Krakowie. Nr. konta P. K. O. 414.480. — Zaznaczyć cel na czeku.

Redaguje: J. Serafin. — Administracja i Redakcja: Kraków, ul. Kopernika L. 9.
Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie pod zarz. R. Ferka.